

OFF TO THE RACES

GOLD RUSH RANCH #1

BESTSELLEROWA ZAGRANICZNA AUTORKA!

ELSIE SILVER



G O L D R U S H R A N C H # 1

OFF TO
RACES THE

ELSIE SILVER

Tłumaczenie: Katarzyna Dyrek

Tytuł oryginału: *Off to the Races*

Copyright © Elsie Silver 2021

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Magdalena Mieczkowska

Korekta: Katarzyna Dziedzicka, Monika Fabiszak, Martyna Janc

Skład i łamanie: Paulina Romanek

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Cover art by Books and Moods

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-314-6 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📄 [niezwyklezagraniczne](https://www.niezwyklezagraniczne.pl)
✂ Wyd_Niezwykle
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

*Rodzicom, którzy poświęcili niezliczone godziny,
by wozić mnie do stajni*

– Nie lubię ludzi – powiedziała Velvet. – Lubię tylko konie.
National Velvet, Enid Bagnold



Prolog

BILLIE

Dziesięć lat wcześniej...

Wokół mnie rozbłyskują flesze, więc unoszę przedramię, by zakryć oczy. Idę pospiesznie i słyszę nieustające trzaski lamp. Tłum mnie przytłacza. Ludzie zbliżają się ze wszystkich stron.

Muszę tylko dostać się do samochodu.

– Wilhelmino! Wilhelmino!

Przyspieszam i wpadam na ochroniarzy, kiedy na oślep pędzę w stronę lincolna – mojej oazy, w której w końcu zdołam odpocząć. W której przestanę udawać. W której będę mogła zakryć twarz i płakać.

Dostrzegam otwarte drzwi, które zapraszają mnie do środka. Tak niewiele mnie od nich dzieli.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Czuję, że coś chłodnego przyciska mi się do ust. Opuszczam rękę i widzę przed sobą zniecierpliwiony wzrok oraz zbyt białe zęby.

– Wilhelmino, powiedz, czy widziałaś nagrania z twoim ojcem?

Słyszę jedynie miarowy szum w uszach. Czuję, że zaraz stracę nad sobą panowanie, jeśli natychmiast nie zamknę się w czekającym na mnie samochodzie. Tym, który widzę ponad idealnie ułożonymi blond włosami.

Zdaję się na instynkt. To reakcja typu „walcz albo uciekaj”.

– Pierdol się – mówię, patrząc prosto w aparat, a wokół rozlegają się pomruki.

Wybieram walkę.



Rozdział 1

VAUGHN

Zakrywam twarz dłońmi, bo czuję się pokonany.

– Jezus Maria – jęczę.

E-maile nie przestają napływać. Dociekliwi dziennikarze i ich niekończące się pytania.

Codziennie godzinami siedzę przy biurku, słuchając nieustającego pikania dźwięku przychodzących wiadomości. Jednocześnie przetrząsam dokumenty dziadka. Czytam strona po stronie raporty finansowe firmy i przeczesuję szafki z papierami, bo przydałaby mi się jakaś wskazówka. Stukałem już nawet w wewnętrzne ścianki biurka – jakby to był jakiś film szpiegowski, a nie prawdziwe życie – mając nadzieję, że odskoczy ukryta klapka i odsłoni dokładnie to, czego szukam.

Co mi umyka?

Muszę dowieść, że jest niewinny. Nie mogę pozwolić, aby jego imię pozostało zszargane.

W rodzinnej firmie odpowiadam za marketing, więc zdaję sobie sprawę, że mam niemały bałagan do posprzątania. Tym właśnie powinienem się teraz zajmować: przybrać na twarz uśmiech zwycięzcy i załagodzić całą sytuację. Ustalić plan działania na przyszłość, uspokoić media, przeprosić kolegów z branży i poklepać po plecach naszych akcjonariuszy.

Nie mogę dopuścić, aby skandal na ranczu wpłynął na zaufanie do Gold Rush Resources. Oczywiście oba te przedsiębiorstwa znajdują się w naszych rękach, ale jedno przynosi dochody, a drugie – zasadniczo – nadal wychodzi na zero. W głębi duszy zdaję sobie sprawę, że jedynym sposobem na wzbudzenie zaufania do firmy wydobywczej jest zrobienie z dziadka – jednego z najważniejszych ludzi w moim życiu – kozła ofiarnego¹.

Wzdycham ciężko i klikam, aby ponownie otworzyć skrzynkę odbiorczą.

„RE: Ustalenia w kwestii gonitwy na torze”.

Ocieram twarz; zarost łaskocze mnie w palce. Nie chcę wydawać tego oświadczenia, ale minęły dwa tygodnie. Nie mogę dłużej ukrywać się na ranczu i wciąż walić głową w mur.

Dwa tygodnie temu mój dziadek Dermot Harding – człowiek, który w zasadzie mnie wychował, gdy wszyscy inni się od tego wykrecili – zmarł z powodu rozległego zawału serca. Przewrócił się w swoim gabinecie, a dzień później na pierwszych stronach krajowych gazet znalazły się jego zdjęcie i artykuł o tym, jakoby stał za największym skandalem w historii wyścigów konnych.

To była prawdziwa tragedia.

Racjonalnie rzecz ujmując, dziadek był po osiemdziesiątce, więc jego śmierć nie powinna nikogo dziwić. Ta nagła strata

¹ W oryginale użyto idiomu *throw somebody under the bus* (z ang.), którego używa się w znaczeniu „krytykować, obwiniać lub karać (kogoś w trudnej sytuacji), zwłaszcza w celu uniknięcia winy albo uzyskania przewagi”. Zob. słownik Merriam-Webster dostępny na stronie <https://www.merriam-webster.com/dictionary/bus> (przyp. red.).

jednak dogłębnie mnie poruszyła. Chociaż może sam fakt jego odejścia jeszcze w pełni do mnie nie dotarł, ponieważ skupiam się wyłącznie na próbach oczyszczenia jego imienia. Został oczerniony – on oraz wszystko to, co po sobie zostawił – a teraz nawet nie może się bronić. Nie wierzę jednak, aby mężczyzna, który mnie wychował, mógł zrobić coś tak podłego. Zwyczajnie nie mieści mi się to w głowie.

Komórka leżąca na blacie zaczyna wibrować i swoim tańcem odciąga moją uwagę od wiadomości na monitorze. Na ekranie pojawia się imię Cole'a i zdjęcie zabawkowego żołnierza G.I. Joe, na którego widok zazwyczaj szczerzę zęby w uśmiechu. Dziś jednak jest inaczej. Nie jestem w nastroju, żeby rozmawiać ze starszym bratem.

Nie umiem oderwać wzroku od telefonu, ale nie potrafię też się zmusić, żeby odebrać. Czekam, aż włączy się poczta głosowa, a chwilę później ekran gaśnie. Niedługo po tym, wraz z nadejściem kolejnego połączenia, ponownie się rozjaśnia. Cole nie odpuści, a ja – kiedy chodzi o moją rodzinę – ustępuję, bo nie mogę zignorować dwóch telefonów z rzędu. Coś się przecież mogło stać.

Przesuwam więc palcem po ekranie i podnoszę komórkę do ucha.

– Czego?

– Skończyłeś już bawić się w Domek na prerii?

Przewracam oczami. Cole to fiut.

Każdy ma własny pomysł na to, jak powinien zachowywać się po śmierci dziadka i po wybuchu skandalu. Brat, mama, zarząd.

– Chcesz czegoś konkretnego czy dzwonicz tylko po to, żeby sobie ze mnie podrwić?

– Musisz tu wrócić. Są pewne oczekiwania wobec ciebie, Vaughn – narzeka, wiedząc, że to nie doprowadzi do niczego dobrego.

Przywykłem do bycia twarzą firmy, ale tym razem wszyscy spodziewają się zupełnie innego przedstawienia niż zwykle i wydaje mi się, że nie do końca spełnię ich oczekiwania w kwestii żałoby. Pragną rozpachy okraszonej odrobiną wstydu i to w dodatku wtedy, gdy wszyscy będą na mnie patrzeć.

Ale tym razem nie dam się zrobić.

– Wiem o tym, Cole. Po prostu mnie to nie interesuje.

W słuchawce słyszę jęk. Jestem punktem, którego nie może odhaczyć na swojej liście rzeczy do zrobienia, przez co prawdopodobnie nie śpi po nocach. Nie martwi się o mnie, ale o uporządkowanie spraw biznesowych. Chce mieć je pod kontrolą.

– Jak długo potrwa to twoje wolne?

Zaciskam zęby, zastanawiając się, jak najlepiej mu odpowiedzieć.

Wszystkich zaangażowanych w temat niepokoi to, że się odciąłem, uciekłem z Vancouver i zaszyłem między górami i dolinami Ruby Creek. Nie zamierzam przeżywać żałoby na oczach mediów, postępować zgodnie z postulatami firmy mówiącymi o szoku, rozczarowaniu oraz o „dopuszczeniu do siebie uczuć”. Najwyraźniej takie rzeczy osiąga się przez organizowanie konferencji prasowych i pokazywanie się w odpowiednim czasie. Jakbym był kimś w rodzaju pana na pokaz, który po wszystkim wyśle emocjonalny list do gazet.

Niestety dla nich jeszcze nie dopadł mnie smutek.

Na razie jestem zły. Wściekły, że mężczyzna, którego kochałem najbardziej na świecie, zmarł samotnie w swoim biurze. Otrzymał tak okrutny cios, że aż zatrzymało się jego serce.

Gniew ten sprawia, że ludzie przy mnie czują się niezręcznie – a przez dwadzieścia osiem lat mojego pobytu na tym łąz padole nauczyłem się, że większość osób zrobi wszystko, co w ich mocy, aby jednak zapewnić sobie komfort. Uchwyć się go, aż pobieleją im knykie, spocą się dłonie i będą trzymać

z absolutną desperacją. Będą niszczyć relacje z członkami swoich rodzin, znosić beznadziejnych małżonków, zadawać ciosy w plecy przyjaciółom i tak dalej, ponieważ komfort jest dla nich najważniejszy.

Na razie mam gdzieś to, w jaki sposób opiszą mnie media oraz jak moje milczenie wpłynie na firmę. Od lat byłem ulubieńcem opinii publicznej. Zdobyłem odpowiednie wykształcenie, a potem pozwoliłem dziennikarzom wodzić się za nos, gdy występowałem przed nimi jak jakiś egzotyczny kuc wystawowy.

– Tyle, ile będzie trzeba – ripostuję i się rozłączam. Mam dosyć kłaniania się wszystkim w pas, aby ich zadowolić. Potrzebuję trochę czasu dla siebie.

Znosiłem towarzystwo tych, których nie cierpię, śmiałem się z niezbyt zabawnych żartów, spotykałem się z najbardziej wpływowymi osobami w Vancouver, aby wypełnić zobowiązania wobec naszej rodzinnej firmy. Od lat byłem jej twarzą, reprezentantem elity. I na nic się nie skarżyłem. Zatem wszyscy mogą się ode mnie odczepić i na kilka tygodni dać mi spokój.

Świat nadal będzie się kręcił, nawet jeśli na chwilę przestanę się uśmiechać. Albo jeśli wycofam się na moment z działalności w Gold Rush Resources, aby ocalić ranczo.

Nawet jeśli pomysł ten sprawia wrażenie balonu wypełnionego ołowiem. Cole powiedział wcześniej, że wyrzucam swoją karierę do śmietnika, a potem wymądrzał się na temat tego, że siedzenie na farmie nie jest ani zdrowe, ani dobre dla naszej głównej firmy. Według brata po pogrzebie dziadka powinienem się skupić na pracy i spędzić trochę czasu z resztą rodziny. Przeżyć żałobę.

Prycham. Nieźle jak na człowieka, który uciekł, gdy wydarzyła się poprzednia tragedia. Wytknąłem mu to i dodałem, że biorę wolne w firmie, aby poprowadzić ranczo, a potem odwróciłem się na pięcie i wyszedłem z eleganckiego biura w centrum miasta.

Musiałem się wydostać z tej pieprzonej betonowej dżungli.

Jeszcze tego samego dnia spakowałem torby i przeniosłem się do domu dziadka, bo tylko tutaj dobrze się czuję. Z tym ranczem wiązą się szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa.

Gold Rush Ranch jest w naszej rodzinie od pokoleń. Należało do rodziny babci Ady, a obecnie stanowi najlepszy ośrodek zajmujący się hodowlą koni wyścigowych w zachodniej części Kanady. To miejsce jest spełnieniem marzeń babuni, przynajmniej tak zawsze twierdził dziadek Dermot. Zmarła, gdy byłem mały, więc nie mam tak żywych wspomnień z jej udziałem. Wiem jednak, że właśnie przez to dziadek został tu i skupił się na ranczu, a prowadzenie firmy wydobywczej z siedzibą w centrum Vancouver pozostawił innym. Zdaję sobie też sprawę, że ich miłość była jak z bajki.

Zatem to, że brat i matka nie rozumieją mojego sentymentu do tego miejsca, nie oznacza, że nie wzbudza ono we mnie żadnych uczuć. I tak nie znają mnie za dobrze, bo też nigdy nie próbowali poznać. Nie zrobili nic, by mnie przy sobie zatrzymać. Oczywiście, że normalnie ze sobą rozmawiamy, ale jeśli tematem nie są rodzinne interesy, wymiana zdań jest płytka i krótkotrwała. Toleruję to, że matka wtrąca się w moje życie osobiste, bo to jedyna kwestia, na którą chce mieć wpływ. I tak, wiem, że to brzmi dość żałośnie – witajcie problemy związane z porzuceniem!

Cole po śmierci ojca uciekł do wojska, więc ja mogę zaszyć się na ranczu. Tak będzie sprawiedliwie.

Mam gdzieś, co o tym myśli. W przeciwieństwie do innych ja coś się go nie boję. To, że gra świętego, wcale mnie nie denerwuje. Wcześniej się mną nie przejmował, więc teraz też nie pozwolę mu sobą dyrygować.

Dziadek przez dziesięciolecia budował swoje imperium praktycznie od zera. Jestem mu winien przejęcie tej schedy.

W obydwie firmy wlał krew, pot, łzy i dopisało mu trochę szczęścia, a wszystko to spaja teraz nasze rodzinne dziedzictwo.

Po śmierci babci dziadek Dermot całą swoją uwagę skupił na ranchu. Pod rządami jego twardej ręki zdobyło uznanie, prestiż oraz mnóstwo nagród. To miejsce jest hymnem ku czci jego bliskich zmarłych – żony i syna.

A historia naszej rodziny...

Kręcę głową i się przeciągam. Rozczulanie się nie jest produktywnym zajęciem.

Użalanie się nad sobą to robota dla nieudaczników.

Wyjmuję spinki z mankietów, podwijam rękawy, rozsiadam się w fotelu i wzdycham ciężko. Ostatnio często to robię. Głośno sapie, choć denerwuje mnie towarzyszący temu dźwięk.

Kiedy wyglądam przez okno gabinetu, czuję się... przytłoczony. Podziwiam idealne białe płoty, którymi wydzielono kwadratowe połacie terenu, a każda z nich stanowi padok dla konia. Doceniam organizację tego układu. Przynajmniej w tej kwestii panuje porządek. To nieskomplikowane, logiczne. Prostota mnie uspokaja. Niczym mantrę powtarzam w duchu słowa dziadka: „Możesz panować jedynie nad tym, co masz przed sobą, Vaughn”.

Boże, tekst jak z jakiegoś kiepskiego poradnika rozwoju osobistego. Coś, co moja kochana matka poleciłaby mi do czytania. Tuż przed tym, zanim zaproponowałaby, że umówi mnie na kolejną randkę. Jakby ożenek i splodzenie dzieci miały uszczęśliwić mnie w takim samym stopniu co ją. Mama to bogata dziewczyna z miasta, która zakochała się w synu farmera. Przez to razem z Cole’em nigdy nie wiedzieliśmy do końca, gdzie właściwie jest nasze miejsce. Kocha mnie, ale zupełnie nie rozumie i nawet nie stara się tego zrobić.

– Dobre intencje, ale zupełnie nietrafione.

– Co takiego, synu? – pyta zdyszany Hank, przez co natychmiast obracam się w fotelu. Mężczyzna chwyta za futrynę i zagląda do gabinetu, tak jakby przechodził niedaleko, ale nie dośłyszał, co mówię.

Naprawdę muszę przestać gadać do siebie.

– Nic – odpowiadam lekceważącym tonem, chociaż nie taki był mój zamiar. Szczerze mówiąc, ostatnio przytrafia mi się to dość często.

– Na pewno dobrze się trzymasz? – dopytuje, bo trudno ukryć cokolwiek przed jego sokolim wzrokiem.

– Jasne. Do zobaczenia o jedenastej. – Próbuję zatrzeć złe wrażenie, więc macham do niego i obdarzam wymuszonym uśmiechem. Nie jestem pewien, czy to kupi. Zapewne nie wyglądam zbyt naturalnie, ale bardziej jakbym postradał zmysły. Czuję jedynie... odrętwienie.

Hank się uśmiecha, mruga i odchodzi, zupełnie niezrażony moim beznadziejnym zachowaniem. Nie umiem pojąć, dlaczego ten gość zawsze jest w tak dobrym nastroju. Nie da się go wkurzyć, co jest wręcz dziwne.

Przydałoby mi się trochę tego, co bierze.

Zaraz po przyjeździe na rancho zająłem się sprzątaniami. Niektórzy mogliby powiedzieć, że zacząłem palić mosty, ale nie mam szans odbudować reputacji tego miejsca w otoczeniu osób, którym nie jestem w stanie zaufać, jak również tych, którzy z radością odwracają wzrok.

Gold Rush Ranch ma teraz nowego zarządcę, co wiąże się z wprowadzeniem nowego kodeksu moralnego.

Obrałem sobie za cel odszukanie i zatrudnienie Hanka Brandta – najlepszego przyjaciela dziadka sprzed wielu lat, który dawno temu przeniósł się do Ruby Creek. Człowieka, który kocha tę dolinę i jednocześnie zna się na koniach wyścigowych. Zanim przeszedł na wcześniejszą emeryturę i tu wrócił, zarządzał jednym z najbardziej udanych i przynoszących sukcesy programów hodowlanych oraz wyścigowych na wschodnim wybrzeżu.

Kiedy skontaktowałem się z nim z propozycją zawieszenia emerytury na kołku, zapragnął wrócić do miejsca, w którym

zaczynał, i muszę przyznać, że nie zniechęciły go nawet malejące sukcesy na torze oraz nadszarpięta reputacja rancza.

Stwierdził, że nie może się doczekać, by zmierzyć się z tym wyzwaniem i obdarzył mnie swoim charakterystycznym szerokim uśmiechem. Jakby wiedział o czymś, z czego sam nie zdawałem sobie sprawy.

Weszliśmy w spółkę, w ramach której on miał przejąć – że tak powiem – cugle w sprawach dotyczących koni, a mnie przypadała strona biznesowa całego przedsięwzięcia. Uzgodniliśmy, że każdą nową osobę zatrudnimy razem. Chciałem mieć pewność, że stworzymy sobie przyjazne środowisko. Nie byłem gotowy wyzbyć się kontroli nad spadkiem po dziadku.

Przynajmniej nie przed przywróceniem mu dobrego imienia.

Właśnie dlatego mieliśmy przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną z nowym trenerem koni. Niejakim Billym Blackiem. Hank już wcześniej pracował z nim na Wschodzie – zachwycał się jego młodością i nowatorskim podejściem. Ponoć gość szkolił się w Wielkiej Brytanii pod okiem kogoś znanego, o kim ja w ogóle nie słyszałem, oraz ma głowę pełną nowych pomysłów i strategii.

Człowiek ten nie wydaje się bezpiecznym i stabilnym rozwiązaniem, jakiego bym oczekiwał, ale postanowiłem nie sprzeciwiać się przyjacielowi dziadka. Przecież rozmowa nie zaszkodzi, a zatrudnienie nieznaney w naszych okolicach osoby z branży może się okazać dobrym sposobem na nasz nowy początek.

A właśnie tego mi trzeba.

Z okna gabinetu widzę wybrukowany, okrągły podjazd. Na jego środku stoi fontanna. Strzela wodą wokół posągu z brązu przedstawiającego dżokeja na galopującym koniu – mojego ojca.

Z tą farmą wiąże się tak wiele wspomnień. O tylu rzeczach mogę rozmyślać, marzyć na jawie. Naprawdę mam co rozważać.

Z zadumy wyrzywa mnie dźwięk opon cicho toczących się po podjeździe. Dobrze, bo nie mam teraz czasu na przemianę

w sentymentalnego durnia. Za dwadzieścia minut mamy przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną z nowym trenerem, więc nie chcę, by cokolwiek mnie rozpraszało.

Widzę, że na parking wjeżdża czarny SUV. Czuję, jak narasta we mnie zniechęcenie. Nie mam nastroju na jakiekolwiek interakcje.

Otwierają się drzwi, wyłania się zza nich błyszczący czarny kozak stylizowany na obuwie do jazdy konnej, a za nim długa, smukła noga w obcisłych bordowych spodniach. Unoszę wzrok i przyglądam się wysiadającej z samochodu kobiecie. Promienie wiosennego słońca tańczą na grubym, kasztanowym warkoczu zwisającym jej na plecy.

Kobieta poprawia kołnierzyk czarnej bluzki, po czym przystawia dłoń do czoła i rozgląda się po okolicy. Nie mogę nie patrzeć na jej talię i biodra.

Na jej twarzy maluje się tęskny uśmiech, gdy szeroko otwartymi oczami przygląda się ranczu.

Prezentuje się jak lalka, chociaż bije od niej pewność siebie. Jakby doskonale zdawała sobie sprawę, że zjawiła się tu, bo ma szansę na usidlenie Vaughna Hardinga. Widziałem to spojrzenie już setki razy u łowczyń majątków znajdujących się w swoim żywiole i pragnących szybko piąć się po drabinie społecznej. Przedstawicielki płci pięknej nieustannie tak na mnie patrzą, przez co znacząco tracą na atrakcyjności.

Oczywiście, że jest piękna. Tak jak one wszystkie. Ale ta kobieta ma również klasę – najwyraźniej matka zmieniła strategię.

Kręcę głową, czując szybko narastającą frustrację. Nie potrzebuję teraz tych gier. Dlaczego nikt mnie nie słucha? Zaraz skończy mi się cierpliwość i wybuchnę.

Tym razem nie zamierzam się uśmiechać i przytakiwać. Planuję wysłać czytelną dla wszystkich wiadomość.

Matka zdecydowanie przegięła.